

WSPOMNIENIA

Damian Synowiec OFMConv

W NURCIE FRANCISZKAŃSKIM 14 (2005)

POD OPIEKĄ CUDAMI I ŁASKAMI JAŚNIEJĄCEJ

W podsumowaniu siedemdziesięciu lat życia mojego Brata, o. Juliusza Stanisława Synowca, nie można zapominać, że wszystko zaczęło się w parafii Okulice, która leży na północny wschód od Bochni, na prawym brzegu Raby, kilka kilometrów od rzeki, niedaleko jej ujścia do Wisły.

W większej części naszej parafii przeważa gleba piaszczysta. W samych Okulicach i na najbliższych nich położonych terenach, dzięki powtarzającym się kiedyś wylewom Raby, mamy rędzinę.

Górale nie zachwyciliby się tymi równinnymi stronami. Mają one jednak swoje piękno. Zielenią łąk, bogactwem drzew, zapachem kwiatów i żywicy urzekają przybysza przede wszystkim południowe tereny parafii, gdzie leży nasza rodzinna wieś, Dąbrówka. Znajduje się w niej nawet niewielki pagórek, z którego na trzy dni przed deszczem można zobaczyć Tatry.

Swymi początkami Dąbrówka sięga XV wieku. Najstarszy jej przysiółek stanowi tzw. Wieś. Do ostatnich czasów śladem jej średniowiecznego pochodzenia był znajdujący się na środku osiedla staw, który dostarczał wody, zwłaszcza dla bydła i na wypadek pożaru. Drugą część stanowi Podkrzacze, położone niżej obok sprywatyzowanego ostatnio błonia. Tutaj 22 października 1934 roku urodził się Stanisław. Na południe od Wsi, w sąsiedztwie lasu, ciągnie się przysiółek zwany Obszarem. Przed drugą wojną światową zbudowano tu szkołę, która niedawno została nowocześnie rozbudowana. Przez sześć lat brat mój zdobywał w niej wykształcenie podstawowe.

Miejscowe lasy dostarczają jagód, borówek, czernic i innych owoców leśnych, także grzybów, opału, budulca, no i świeżego powietrza. Kłusownicy czasem upolują tu zająca lub sarnę. Ma też swoją jamę borsuk.

Szczególnie piękna jest droga do Brzeska, wiodąca najpierw przez lasy chłopskie, a potem przez las pański, który tak nazywano dlatego, że do końca drugiej wojny światowej należał on do bogatej rodziny Götzów, kiedyś właściciele Okolic z słynnym browarem.

Czasem lasy te nazywają ludzie Puszcą Krzeczowską, bo kiedyś sięgały do Krzeczowa pod Bochnią. Ale dzisiaj sięgają jedynie do Jodłówki.

Od północnego wschodu zamyka parafię ściana lasów Puszczy Bratucickiej, której nazwa wywodzi się od sąsiadujących z nią Bratucic. Nieraz obydwie zespoły lasów nazywane są Puszcą Bratucicko-Krzeczowską.

Niezbyt daleko od Okulic, w zachodniej części Kotliny Sandomierskiej, na wschód od Niepołomic po dolną Rabę, rozciąga się znacznie większa Puszcza Niepołomicka.

Jadąc przez bratucickie lasy do Szczurowej, należy zatrzymać się pod starożytnym dębem, aby się pomodlić przed figurą św. Onufrego, którego imię w miejscowej gwarze brzmi: Unofry. Przypomina ona przechodniowi, że wartości tego świata pewnego dnia się skończą i dlatego najlepsza jest droga ogołocenia ze wszystkiego, którą szedł przez życie ów święty. Cisza, która tam panuje, zachęca do skupienia i modlitwy.

W głębi bratucickiego lasu zachowały się do dzisiaj mogiły poległych podczas pierwszej wojny światowej obrońców imperium austriackiego. Wskazują one na przemijalność nawet największych potęg.

Plagą dla miejscowych rolników są dziki, zamieszkujące Puszcę Bratucicką. Przez jedną noc potrafią one zniszczyć kilka morgów ziemniaków, zmuszając właścicieli pól sąsiadujących z lasami do nieustannych straży, zwłaszcza w okresach sadzenia lub zbioru ziemniaków.

Okulice należą do diecezji tarnowskiej. Przez wielu nazwana jest ona ziemią kapłańską ze względu na dużą liczbę powołań, jakie daje Kościołowi. Z parafii okulickiej pochodzi ponad 15 żyjących obecnie kapłanów. W naszym Zakonie prócz o. Juliusza i mnie należy do nich o. Euzebiusz Ciaciek, przebywający w Rychwałdzie koło Żywca.

W rodzinnej Dąbrówce, na Obszarze, niedaleko szkoły, zabytkowa kapliczka z rzeźbą św. Floriana pobudza do wiary we wstawiennictwo tego obrońcy przeciw pożarom. Z taką zresztą myślą była kiedyś postawiona.

Na granicy Dąbrówki z sąsiednim Buczkowem, na wschód od Obszaru, stoi kościół poświęcony św. Antoniemu z Padwy. Przed pięćdziesięciu laty była to nieduża kaplica, postawiona na cześć tego wielkiego franciszkanina. Obecny proboszcz, ks. Adam Mardeusz, tak ją rozbudował, że stała się kościołem, w którym miejscowi księża w niedziele i święta odprawiają regularnie Msze św. Dzięki jego staraniom świątynia ta posiada relikwie św. Antoniego. Jej ściany ozdobione są scenami z życia tego wielkiego cudotwórcy, przedstawiającymi go w czarnym habicie naszej rodziny franciszkańskiej.

Pod opieką cudami i łaskami jaśniejącej

Na terenie całej parafii znajduje się wiele figur Serca Pana Jezusa i dużych kamiennych krzyży. Niektóre z nich postawiono jeszcze w XIX wieku na mogiłach ludzi zmarłych na cholera. Mogiły już zniknęły, krzyże przetrwały jako pomnik grasującej tu kiedyś zarazy. Są także inne duże krzyże. Walcząc z alkoholizmem, stawiał je naprzeciw drzwi wyjściowych z karczem, z drugiej strony drogi, zmarły w 1938 roku pierwszy proboszcz parafii, ks. prałat Andrzej Mucha (1884-1938). Pragnął bowiem, aby na wychodzącą z karczmy ofiarę pijaństwa spoglądał Ukrzyżowany Zbawiciel. Karczem nie ma, szynkarzy też nie ma. Zostały tylko krzyże.

Parafii i całej okolicy patronuje Matka Boża Okulicka, cudami i łaskami jaśniejąca. Cudowny Jej obraz, ozdobiony wspaniałą sukienką, znajduje się w głównym ołtarzu naszego sanktuarium. Jest to jedna z najstarszych kopii Obrazu Częstochowskiego. Zdaniem niektórych pochodzi ona jeszcze z XV wieku, ale prawdopodobniejszy jest pogląd, że ją sporządzono w wieku XVI.

Początki kultu Maryi w tej nadrabiańskiej i nadwiślańskiej miejscowości sięgają podobno XIII wieku. Był tu najpierw drewniany kościół, który się zawalił w 1550 roku. Pod koniec XVI wieku rozpoczęto budowę kościoła murowanego, który został konsekrowany w 1647 roku, a w następnych latach rozbudowany ze względu na wielki napływ pielgrzymów. Spłonął on w roku 1787, ale obraz Matki Bożej ocalał.

W 1809 roku rozpoczęto budowę nowego kościoła, która trwała przez wiele lat. Wzniesiony z marnego materiału i na słabych fundamentach, ucierpiał on dotkliwie z powodu powodzi, która w roku 1813 nawiedziła nasze strony. Zaczęły pękać ściany i sklepienia. Kosztowne remonty i zabezpieczenia ankrami, jakie przeprowadzono w latach 1838-1840 oraz po roku 1891 – za probostwa wspomnianego wyżej ks. Andrzeja Muchy - nie zapewniły mu trwałości.

W roku 1934 wylała Raba. Wezbrały również wody niewielkiej, płynącej niedaleko Okulic rzeki o nazwie Grabka. Wylał nawet małeńki potok Łecej (Łącznej), którego źródło znajduje się w miejscowych lasach. Swą nazwę zawdzięcza on prawdopodobnie temu, że płynie przez łąki. Kiedyś był bogaty w ryby różnych odmian. W wyniku przeprowadzonej po wojnie melioracji stracił dużo wody i pierwotny urok.

Wielka powódź z roku 1934 dodatkowo naruszyła stabilność ścian okulickiego kościoła. Od prawej ściany jego prezbiterium zaczął odpadać tzw. skarbiec, czyli dobudowany do niego schowek na mało wartościowy sprzęt kościelny, np. świece. Tuż przed drugą wojną światową kościół znajdował się w opłakanym stanie. Pękały ankrzy, na murach i na sklepieniu pojawiały się nowe pęknięcia.

Skarbiec, o którym wspomniałem, służył osobom, które podczas nabożeństw chciały być bliżej ołtarza. Przez otwarte do prezbiterium drzwi śledziły odprawiającego nabożeństwa kapłana. Nie wolno im było siadać w ławce kolator-

skiej, ta bowiem była zarezerwowana dla znakomitszych parafian. W niej np. pobożnie modliła się kierowniczka szkoły powszechnej w Dąbrówce – p. Maria Gawłowicz, główna formatorka naszych umysłów prawie przez całą szkołę podstawową.

Sąsiednia ławka była przeznaczona dla sióstr służebniczek dębickich z niedalekiego klasztoru, które troszczyły się o ozdobę kościoła, prowadziły ochronkę i niosły pomoc ludziom chorym.

Żona organisty podczas nabożeństw najchętniej siadywała na ławce pod oknem w zakrystii. Swój podziw dla pięknego śpiewu celebrysa wyrażała poruszając głową i dzieląc się uwagami z siedzącym obok kościelnym lub inną osobą. Czasem dzieliła się spostrzeżeniami na temat głoszonego kazania. Bardzo podziwiała uroczyste intonowaną antyfonę „Alma Redemptoris Mater” i „Benedicamus Domino”, śpiewane na melodię kolędy.

Na chór mogli wstępować tylko upoważnieni. Kawalerowie wyśpiewywali na swoistą melodię hymn nieszpórów niedzielnych „Lucis Creator optime”. Czasem występowała orkiestra, prowadzona przez organistę, Pawła Srogę, którego dom znajdował się w pobliżu kościoła.

W połowie października 1949 roku, dzięki staraniom ks. Józefa Augustyna, bardzo zasłużonego proboszcza naszej parafii (1946-1964), rozpoczęto w Okulicach budowę nowego kościoła.

Cegły na jego budowę dostarczała cegielnia, którą proboszcz założył na polach Bratucic. W wyznaczonych przez niego dniach pracowali w niej po kolei członkowie rodzin należących do parafii. Przynajmniej raz pracował w niej także mój Brat, odbierając świeże cegły, które wychodziły z maszyny.

Na tej samej zasadzie zorganizowana była praca przy wznoszeniu murów świątyni. Oplacany przez księdza majstrom pomagali ludzie z naszych wsi.

Fundusze potrzebne na budowę zdobywał proboszcz ze sprzedaży nadwyżek wyprodukowanej cegły i ze składek wiernych, które umiejętnie organizował. Często wyjeżdżał on do sąsiednich parafii i także tam zbierał ofiary na to wielkie przedsięwzięcie, uzasadniając w płomiennych kazaniach jego potrzebę dla czci Matki Zbawiciela.

Władze komunistyczne z właściwą sobie wrogością wobec religii na wszelkie sposoby utrudniały to dzieło. Pamiętam, jak ze zgrozą czytaliśmy w „Trybunie Ludu” szkalujący ks. Augustyna artykuł, podpisany przez kierownika szkoły w Buczkowie.

Budowa kościoła trwała 10 lat. Po jej ukończeniu cudowny obraz Matki Boskiej Okulickiej został przeniesiony do nowej świątyni. Jej konsekracji, w zastępstwie tarnowskiego ordynariusza, bp. Jana Strepy, dokonał w dniu 17 maja 1959 roku jego sufragan, bp Karol Pękala.

W uroczystość Narodzenia Najświętszej Maryi Panny – 9 września 1962 roku – na Mszy św. o godz. 11.00 ks. kardynał Stefan Wyszyński, prymas

Polski, przy współudziale ks. abp. Jerzego Ablewicza, ordynariusza diecezji tarnowskiej, na skronie Dziecięcia Jezus i Matki Bożej na okulickim obrazie włożył watykańskie korony. Według komunistycznych gazet w obrzędach tych uczestniczyło tylko 14 tysięcy wiernych. W rzeczywistości było ich ponad 100 tysięcy, w tym 16 biskupów i około 500 księży. Wśród obecnych na koronacji znajdował się także sufragan krakowski, ks. bp Karol Wojtyła, dzisiaj Ojciec Święty Jan Paweł II. Odtąd stał się on wielkim czcicielem wizerunku Matki Bożej Okulickiej i – jak sam wyznał – gdy potem jako ordynariusz archidiecezji krakowskiej miał podejmować ważne decyzje, zwracał się do Niej z prośbą o pomoc. Pod datą 1 lipca 1963 roku w księdze pamiątkowej naszej parafii znajduje się wpis: „Odprawiłem Mszę św. przed obrazem Matki Bożej Okulickiej, której wiele zawdzięczam. +Karol Wojtyła, wikariusz Kapitulny”.

Te związki Jana Pawła II z Matką Boską Okulicką przypominają jego wielki pomnik z brązu, który dzięki staraniom obecnego proboszcza, ks. Adama Mardeusza, stanął przed Jej sanktuarium. Projektował go podobno Czesław Dźwigaj, ten sam, który w roku 2004 zaprojektował pomnik Jana Pawła II w Domu Polskim na Via Cassia w Rzymie.

Stary kościół rozebrano, ponieważ nie miał on wartości właściwych zabytkom, a jego konserwacja byłaby połączona z ogromnymi kosztami.

Z biegiem lat, dzięki staraniom proboszczów: ks. Mariana Matyjewicza (1964-1979) i jego następcy, ks. Adama Mardeusza, który do dziś kieruje parafią, nowa świątynia Matki Chrystusa w Okulicach nabrała piękna, które zapewne będzie jeszcze wzrastać.

Życie mojego Brata, który urodził się 22 października 1934 roku, od samego początku upływało pod spojrzeniem Maryi, czczonej w obrazie Matki Boskiej Okulickiej. Na chrzcie, którego udzielono mu w Jej starej świątyni, otrzymał imię Stanisław, w naszych stronach – także w rodzinach z nami spokrewnionych – chętnie nadawane, ponieważ niedaleko znajduje się Szczepanów, miejsce narodzin św. Stanisława, który w naszej parafii cieszy się dużą czcią. Jej wyrazem jest piękna figura tego świętego biskupa i męczennika, która zdobiła nastawę głównego ołtarza w starym kościele, a potem razem z ołtarzem przeniesiona została do nowego sanktuarium. Nasi krewni, zwłaszcza ze strony matki, chętnie pielgrzymowali do Szczepanowa na doroczne odpusty.

Patronem mojego Brata został jednak nie św. Stanisław Szczepanowski, ale św. Stanisław Kostka, którego w naszej parafii również otaczano wielką czcią. Stało się tak dlatego, że nasi księża mieli zwyczaj nadawania chrzczonym dzieciom imion świętych, których wspomnienie przypadało niedaleko daty ich urodzenia. Jak wiadomo, wspomnienie św. Stanisława Kostki obchodzono dawniej 13 listopada.

Nic nie zapowiadało długiego życia mojego Brata. Opowiadała mi Mama, że po przyjsciu na świat Staszek był bardzo słaby. Po chrzcie, który otrzymał w naszym parafialnym kościele, spał cały miesiąc. Niepokojono się, że nie prze-

żyje. Mama jednak zaufała Matce Bożej. Jak nakazuje stary zwyczaj, czterdziestego dnia po narodzinach zaniósła swego pierworodnego do kościoła na „wywód”. Ksiądz odmówił przepisane rytuałem modlitwy i poszedł na plebanię. Mama z dzieckiem pozostała w kościele i długo się za nie modliła. Następnie położyła Stasia na ołtarzu przed Matką Najświętszą, prosząc Ją, żeby go wzięła w opiekę i przyjęła na służbę.

Taki był początek jego kapłańskiego powołania, które potem rozwijało się, gdy – nie pamiętam w której klasie – zachęcony przez katechetę i rodziców – został ministrantem.

Kółko ministrantów prowadził wtedy młody i gorliwy wikary, ks. Stanisław Gąsior, który cieszył się w parafii dużym wzięciem, zwłaszcza wśród dzieci i młodzieży.

Służba ołtarzowi wymagała niemało zaparcia się siebie, ponieważ odległość między Dąbrówką a kościołem w Okulicach wynosiła 4 km. Mały ministrant wypełniał jednak przykładowo wyznaczane mu dyżury, a nawet udawał się do kościoła częściej niż był zobowiązany.

Jak wszyscy Polacy przeżywalismy oczywiście okropności wojny: nakładane na nas kontyngenty, wypadki pastwienia się Niemców nad ludźmi, prześladowanie Żydów, wywożenie ludzi do Oświęcimia, braki w zaopatrzeniu. Docierały do nas niedokładne, ale – jak się później okazało – zgodne z prawdą wiadomości, że w Puszczy Niepołomickiej Niemcy rozstrzelali ludzi i grzebali ich zwłoki w zbiorowych mogiłach. Dotyczyły one m.in. egzekucji żołnierzy polskich w roku 1939, około 400 więźniów z krakowskiego więzienia Montelupich w grudniu 1942 roku i jeńców sowieckich w latach 1941-1943.

Pewnego dnia Staszek był świadkiem, jak w pobliżu naszego domu rozwścieczony gestapowiec w podeszłym wieku, może nawet pijany, długo bił naszego Ojca kańczugiem po twarzy i szyi za to, że na naszym podwórku leżały stosy złożonej przez gospodarzy na rozkaz sołtysa słomy dla niemieckiego wojska, która – jego zdaniem – nie została na czas odwieziona do Bochni. Płakał przy tym, krzycząc wniebogłosy. Gdy gestapowiec, którego ludzie nazywali diabłem bocheńskim, odjechał ze swoim tłumaczem, Ojciec – z sinymi pręgami na twarzy i szyi – podszedł do niego, wziął go za rękę i ze słowami: „Chodź, dziecko, chodź!” zaprowadził do izby, gdzie go uspokajał mówiąc m.in.: „Dobrze, że się to gorzej nie skończyło”.

Byliśmy świadomi, że w naszych okolicach działają partyzanci. Nazywano ich jędrusiami, bo mówiono, że ich dowódca ma imię Andrzej. Cieszyliśmy się, gdyśmy się dowiadywali, że partyzanci rozbrajali Niemców, obcinali włosy Polkom zbyt dla nich przychylnym i wymierzali chłostę ludziom, którzy z nimi kolaborowali. Wiedzieliśmy, że niektórzy młodzi mieszkańcy Dąbrówki byli w partyzantce. Żałowaliśmy, że z powodu zbyt młodego wieku nie mogliśmy iść w ich ślady.

Pod opieką cudami i laskami jaśniejącej

Nie tylko ludzie dorośli, ale także my jako dzieci byliśmy świadomi, że w Buczkowie, na ustroniu pod lasem, w domu niejakiego Borowca, ukrywali się Żydzi. Nikt ich nie zdradził i doczekali końca wojny.

Naszym proboszczem w owym trudnym czasie był ks. Karol Mazur (1939-1946). Dbał on bardzo o postawę moralną parafian poprzez głoszenie kazań i gorliwe słuchanie spowiedzi. Dzięki poparciu z jego strony, a może nawet z jego inicjatywy, w Okulicach odbywały się tajne komplety z zakresu szkoły średniej, w których uczestniczyli niektórzy starsi ministranci. Jeśli mnie pamięć nie zawodzi, należał do nich także nieżyjący już Staszek Maślak, prezes naszego kółka ministrantów, który potem został księdzem i przez długie lata był proboszczem.

Wieś Okulice chlubi się tym, że pochodził z niej generał Leopold Okulicki (1898-1946), ostatni Komendant Główny Armii Krajowej, który w haniebnym procesie pokazowym szesnastu polskich patriotów został w Moskwie skazany na 10 lat odosobnienia i zmarł lub został zamordowany 24 grudnia 1946 roku w więzieniu na Łubiance. W czasie wojny wiedzieliśmy, że taki generał istnieje. Pokazywano nam dom, z którego pochodził. Ale nie wiedzieliśmy o tym, że odgrywał tak bardzo ważną rolę w walce o wolność Ojczyzny.

Wojenna bieda sprzyjała rozwojowi różnych talentów. Staszek rozwijał je, wyrabiając drewniane samoloty i pistolety. Z łusek po większych nabojach robił pierścionki, chętnie nabywane przez kolegów. Ponadto rzeźbił ptaki. Nie było mu obce malarstwo. Najchętniej malował polskich królów, zwłaszcza Władysława Jagiełłę, naśladując obrazki, który znajdowały się w szkolnym poczcie naszych władców. Pistolety w całości były z drzewa, łącznie z lufą i kulami. Jedyny nie drewniany element stanowiła w nich guma. Dzięki jej sprężystości kula niosła nawet na odległość 5-8 metrów. Pistolety, podobnie jak pierścionki, chętnie kupowali nasi koledzy.

Zajęcia te były oczywiście tylko dodatkiem. Zasadniczo trzeba było pomagać w gospodarstwie pracą przy żniwach, zbiorze ziemniaków, buraków, rzepy, karpeli i innych produktów rolnych, młócce itp. Naszym codziennym obowiązkiem, poza niedzielami i innymi świętami, było rżnięcie siewki dla bydła na niespotykanej już chyba obecnie maszynie, którą trzeba było poruszać ręcznie.

Zima stanowiła czas o tyle przyjemny, że po spełnieniu obowiązków w gospodarstwie i odrobieniu zadań szkolnych można było zjeżdżać na nartach z niewielkiego pagórka za Wsią i cieszyć się spotkaniem z kolegami.

Lato zapraszało do grzybobrania i zbierania jagód. Wołaliśmy to pierwsze zajęcia i zdobyliśmy w nim duże umiejętności.

Niezwykłym wydarzeniem podczas wojny było w naszych stronach to, że którejś nocy na pola Dębiny, wsi leżącej przy drodze z Dąbrówki do Okulic, spadł wielki angielski samolot, może Liberator, podobno trafiony przez niemiecką artylerię, gdy leciał nad Tarnowem. Idąc rano do kościoła, Staszek zobaczył go z daleka. Jak wracał po Mszy św., podszedł w jego pobliże. Byli tam już

Niemcy, którzy wypompowywali z niego paliwo. Pamięta, jak jeden z nich, może Ślązak, podwijał z radości rękawy i wskazując na samolot powtarzał po polsku: „Już nasz, już nasz!”. Dla nas był to znak, że istnieją na świecie siły, które walczą o naszą wolność. Wiedzieliśmy, że zanim samolot spadł, zeskończyli z niego Polacy, którzy przylecieli, by tę walkę prowadzić w Ojczyźnie, i zostali otoczeni opieką przez działających w naszych okolicach partyzantów. Nasza ciotka, Katarzyna Rudnik, która ze swoim mężem Janem, chrzestnym ojcem Staszka, miała sklep pod lasem o nazwie Czernochowiec, opowiadała, że tej samej nocy, w której nastąpiła katastrofa samolotu, przyszli do ich domu panowie, którzy się z niego uratowali, i prosili o posiłek, za który potem dobrze zapłacili. Pilot, który do końca pozostał w maszynie, podobno bardzo się potłukł. Mówiono, że Niemcy kazali go leczyć w szpitalu bocheńskim, skąd rękomo uciekł, a na jego miejsce podstawiono jakiegoś nieboszczyka. Nie wiem, ile w tym prawdy. Jest książka, w której sprawa ta została opisana, ale opracowując te wspomnienia nie miałem do niej dostępu. Nie znam nawet jej tytułu i nazwiska autora.

Pilnujący samolot żołnierze niemieccy odpędzali nas, gdyśmy przychodzili go oglądać. Ale zdarzało się także, że pozwalali nam nawet zajrzeć do środka. Widzieliśmy tam długie taśmy naboju w mosiężnych łuskach. Opowiadano, że była tam także podobizna Matki Boskiej Częstochowskiej. Pewnego popołudnia Niemcy zniszczyli samolot minami, których wybuchy długo słuchać było w Dąbrówce. Zbieraliśmy potem z niego kawałki blachy i różne rurki, niezwykle cenne dla naszego producenta broni. W ziemi znajdowaliśmy naboje, które popękały podczas minowania. Niektóre były jeszcze nienaruszone.

Pewnego razu przynieśliśmy do domu coś w rodzaju mydelka. Staszek włożył to nierozważnie do pieca. Za chwilę nastąpił wybuch. Wyrzuciło z paleniska na izbę chyba wszystko, co się w nim znajdowało. Piec ocalał, pewnie dlatego, że drzwiczki paleniska były otwarte. Ojciec urządził nam burę i zażądał przeproszenia. Inaczej groziło pozbawienie możliwości pójścia na spoczynek. Staszek szybko okazał skruchę. Zmówił pacierz i poszedł spać. I tak mu się lepiej udało niż jednemu z naszych starszych kolegów, który – już po wojnie – lubił się w lesie bawić granatami. Którejś niedzieli granat pękł, zanim – jak to zwykle robił – zdążył go rzucić na drugą stronę drogi wiodącej przez las do Brzeska. Tak mu zniszczył wnętrze, że zmarł, gdy go wieziono do szpitala.

W czasie wakacji 1947 roku stan zdrowia naszego taty uległ wielkiemu pogorszeniu. Wcześniej rano, w dniu 25 lipca, obawialiśmy się, iż wkrótce nastąpi jego śmierć. Staszek miał wtedy wyznaczony obowiązek służenia do Mszy św. Sądził, że będzie lepiej zostać przy konającym Ojcu. Zapytał tatę, co zrobić. Ten mu odpowiedział: „Masz służbę, to idź!”. Gdy wrócił, Ojciec już nie żył.

Obecnie Dąbrówka ma własne gimnazjum. W pierwszych latach po wojnie nie było tam nawet siódmej klasy. Otwarto ją dopiero w roku 1948/1949. Jesie-

nią 1947 Staszek był zmuszony przerabiać tę klasę w odległych o 4 km Okulicach, co oczywiście łączyło się z wielkim trudem. W ciepłych miesiącach jeździł tam na starym, ale bardzo sprawnym rowerze, który Ojciec kupił mu jakiś rok przed swoją śmiercią. W zimie, która była wówczas mroźna, trzeba było codziennie pokonywać pieszo 8 km.

Nie był to szczęśliwy rok w edukacji Staszka. Dużo czasu musieliśmy wtedy poświęcać różnym pracom w naszym gospodarstwie. Nie sprzyjało to należytemu wywiązywaniu się z obowiązków szkolnych. Zaraz po lekcjach trzeba było iść do roboty. Siódmą klasę Staszek ukończył z marnym wynikiem. Bardzo dobrze otrzymał tylko ze sprawowania i religii, a inne stopnie były z góry na dół dostateczne. Było to dla niego wielce przykre, bo w poprzednich latach należał do najlepszych uczniów, a raz nawet otrzymał świadectwo, na którym wszystkie oceny były bardzo dobre.

Powstało wtedy pytanie, czy ma pozostać na gospodarce, czy też zmierzać ku kapłaństwu. Niektórzy sąsiedzi zalecali to pierwsze, twierdząc stanowczo, że po śmierci Ojca jego obowiązkiem jest pomagać mamie. Ona jednak uważała, że powinien się kształcić, a my jakoś damy sobie bez niego radę. Za jej zgodą postanowił, jak się to mówiło, iść na księdza zakonnego, by zostać misjonarzem. Praca na misjach, zgodnie z przekonaniem, które utrzymywało się w naszym środowisku parafialnym, wydawała mu się czymś bardzo ważnym i zaszczytnym. Wiedzieliśmy, że istniała wówczas możliwość wstąpienia do michalitów, salwatorianów lub augustianów. Wybrał augustianów, którzy przyjęli go do swego małego seminarium w klasztorze św. Katarzyny w Krakowie z nadzieją, że jakoś nadrobi zaległości z tej nieszczęsnej siódmej klasy. Informację o ich szkole znaleźliśmy w „Niedzieli”, którą Mama kupowała systematycznie od ministrantów przy naszym kościele.

W szkole augustianów Staszek czuł się bardzo dobrze, bo spotkał tam mądrego wychowawcę w osobie o. Antoniego Krzywańskiego, bardzo dobrą kadrę nauczycieli, jak na Kraków przystało, i przyjaznych kolegów. Szybko zaczął zdobywać wysokie oceny, a na zakończenie dziewiątej klasy w nagrodę za naukę i dobre sprawowanie otrzymał „Śpiewnik kościelny” ks. Jana Siedleckiego. Było to drugie miejsce w klasie. Pierwszą nagrodę przyznano koledze, który nazywał się Czesław Abramik. Nie wiem, jakie były jego dalsze losy.

W roku 1949 także ja, zachęcony jego przykładem postanowiłem zostać księdzem w zakonie augustianów. Gdy wybierałem się do małego seminarium, stary sąsiad przestrzegał mnie, że szkoda czasu i trudu. Przypomniiał przy tym podanie, według którego gdy pewnego razu przez naszą wieś szedł św. Stanisław Szczepanowski, złośliwi chłopcy obrzucili go kamieniami. Wprawdzie nie przywołał on materialnych nieszczęść na sprawców zniewagi, ale przeklął Dąbrówkę i przepowiedział, że do końca świata nie wyda ani jednego księdza.

Nie wierzyłem w historyczność tego podania, podobnie zresztą jak Staszek, któremu również było znane. W roku szkolnym 1949/1950, przebywając w małym seminarium augustianów, mieliśmy nadzieję, że zostaniemy kapłanami w tym zasłużonym zakonie. Jednakże w sierpniu roku 1950 znaleźliśmy się w poważnym kłopotcie, bo ks. kard. Adam Sapieha rozwiązał polską prowincję augustianów. Powiadomiono nas, że nasza szkoła w klasztorze św. Katarzyny przestała istnieć i musimy sobie szukać innej. Nastąpiło chwilowe zagubienie. Co robić, by dojść do kapłaństwa? Do jakiego pójść zakonu? Może do jezuitów? – pytaliśmy się, patrząc na obraz patrona mojego brata w jednej z cel klasztoru św. Katarzyny. Nawet nie próbowaliśmy, bo powiedziano nam, że jezuita przyjmują tylko kandydatów z rodów szlacheckich, a my przecież pochodziliśmy z chłopów. Udaliśmy się do pijarów. Było nas chyba czterech lub pięciu z naszej parafii. Prowincjał pijarów przychylnie się odniósł do naszej prośby, ale zrobił na nas niedobre wrażenie pytaniem: „Czy wy wiecie, co to są pijarzy?”, za którym wyczytaliśmy pomniejszenie wartości cenionych augustianów. Bez dłuższego zastanowienia zrezygnowaliśmy z tego uczonego zakonu. Ale nasze zmartwienie pozostało. Zalęknieni, że wakacje miną i stracimy rok szkolny, napisaliśmy prośbę o przyjęcie do małego seminarium w Opolu. Mówiono, że klasztor św. Katarzyny będzie przeznaczony na seminarium diecezji opolskiej. Toteż spodziewaliśmy się, że jako byli jego mieszkańcy zostaniemy przyjęci. Nic z tego nie wyszło. Nasze matki próbowały jeszcze zdobyć informację, czy nie przyjęto by nas do jakiegoś innego zakonu. Między innymi były u reformatów. Ojciec, czy brat, który z nimi rozmawiał, nie uwierzył jednak w nasze powołania. Stwierdził, że to raczej nasze mamy chciałyby, aby ich synowie zostali księżmi.

W końcu nasza Mama, która była dzielną kobietą, udała się do salezjanów na Dębnikach. Tam jakiś dobry syn św. Jana Bosco poradził jej, by nas wysłała do salezjańskiej szkoły w Ostrzeszowie. Dał jej nawet odnośny adres i załatwił przyjęcie. Płacąc karę za brak biletu na pociąg pośpieszny dojechaliśmy z Bratem do celu, gdzie był już również Józek Ciaciek z Buczkowa, który podróżował innymi pociągami. Grono nauczycieli w tamtejszej szkole bardzo nam się podobało, ale nie czuliśmy się dobrze wśród nowych kolegów. Wydawali się nam zbyt rozkrzyczani. Tęskniliśmy za Krakowem. Napisaliśmy o tym do naszych rodziców. W niedługim czasie, może po dwu tygodniach, przybył do Ostrzeszowa były nowicjusz augustiański, Stefan Jarosz, późniejszy organista w Olszówce koło Rabki, z którym poznaliśmy się w czasie naszego pobytu w klasztorze św. Katarzyny. Powiadomił nas o przyjęciu Józka Ciacka i Staszka do nowicjatu franciszkanów w Krakowie, a mnie do juwenatu ojców paulinów na Skałce. Natychmiast spakowaliśmy swoje rzeczy i wróciliśmy do Krakowa. Staszek został franciszkańskim nowicjuszem, a ja uczniem IX klasy i wychowankiem paulinów. Józek rozmyślił się i przez jakiś czas pozostał w świecie, ale

potem wstąpił do zgromadzenia michalitów. Obecnie przebywa w Pawlikowicach koło Wieliczki.

O franciszkanach wiedzieliśmy niewiele, mimo że w domu prenumerowaliśmy „Rycerza Niepokalanej”, a w parafii był Trzeci Zakon św. Franciszka. Jeden z bocznych ołtarzy w starym kościele, przeniesiony później do nowego, poświęcony był Biedaczynie z Asyżu. Piękna rzeźba, która w nim się znajduje, przedstawia św. Franciszka w chwili otrzymania stygmatów. Pamiętam, jak pewnego razu proboszcz opowiadał ludziom o oddaniu przez Franciszka sukni własnemu ojcu. Nie bardzo pojmowałem, dlaczego to się stało i jaki miało sens. Franciszek w tym oltarzu ma brązowy habit. Kolor ten nie podobał się Staszko-
wi. Wołał habit czarny i taki właśnie otrzymał w naszym Zakonie.

Na obłóczynach – dn. 3.10.1950 – nadano mu, zgodnie z ówczesnym zwyczajem, imię Juliusz, któremu jest wierny do dzisiaj. Z nowej rodziny zakonnej był zadowolony. Z br. Norbertem Bajorkiem odwiedził mnie dwa lub trzy razy w juwenacie ojców paulinów. Do wstąpienia do franciszkanów mnie nie namawiał.

Mistrzem nowicjatu był wówczas śp. o. Fulgenty Bąk, który miał jedną bardzo ważną zaletę – kochał Zakon.

W uroczystość św. Franciszka z Asyżu, 4 października 1951 roku, Juliusz złożył pierwsze śluby zakonne, po czym przeniósł się z Krakowa do Niepokalanowa. W tamtejszym niższym seminarium ukończył X i XI klasę licealną i w czerwcu 1953 roku zdał tzw. wewnętrzną maturę, która nie dawała mu praw państwowych. Do matury państwowej wówczas nie przystępowaliśmy, bo było wiadome, że klerycy i zakonnicy z woli komunistów byli z góry skazani na jej oblanie.

Jak mi napisał Staszek w jednym z listów, cieszył się pobytem w klasztorze, założonym przez o. Maksymiliana Kolbego. Nie zachwycił go jednak poziom naukowy niepokalanowskiego liceum. Tamtejsza kadra nauczycieli była w jego przekonaniu znacznie słabsza niż u augustianów. Bardzo jednak cenił o. mgr. Ludomira Bernatka, profesora języka polskiego i francuskiego oraz p. dr. Macieja Bielickiego, który uczył matematyki i astronomii. P. Bielicki chyba był już wtedy adiunktem na Uniwersytecie Warszawskim, ale dojeżdżał do Niepokalanowa ze względu na przyjaźń, którą łączyła go z nauczycielem śpiewu, o. Florianem Koziurą, byłym gwardianem tamtejszego klasztoru.

W czasie wakacji 1952 roku odwiedziłem Juliusza w Łodzi-Łagiewnikach, gdzie razem z innymi klerykami z jego rocznika, pochodzącymi z naszej krakowskiej prowincji, spędzał lato. Byłem już wtedy przyjęty do naszego Zakonu. Pojechałem zobaczyć się z nim, zanim zacznę nowicjat.

Po zakończeniu edukacji w Niepokalanowie Juliusz wrócił do Krakowa. Tutaj w latach 1953-1955 z wielkim zadowoleniem studiował filozofię w Studium Generalnym OO. Dominikanów, gdzie jego profesorem był m.in. młody wówczas o. dr Albert Krapiec, który później zasłynął na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim jako jeden z najwybitniejszych filozofów w Polsce.

W latach 1955-1958 Juliusz studiował teologię w naszym seminarium w Krakowie, gdzie najbardziej lubił wykłady ojców: dr. Alberta Wojtczaka, dr. Szczepana Krajewskiego i dr. Mariana Lisowskiego.

W roku 1958 zdał maturę państwową w Liceum Ogólnokształcącym im. Bartłomieja Nowodworskiego w Krakowie, po czym został przez prowincjała, o. dr. Anzelma Kubita, skierowany na Katolicki Uniwersytet Lubelski, gdzie w roku 1961 uzyskał licencjat z teologii ze specjalizacją w biblistyce.

Święcenia kapłańskie, razem z innymi współbraćmi, przyjęliśmy 12 marca 1960 roku z rąk biskupa Karola Wojtyły, wówczas sufragana krakowskiego. Prymicje odprawiliśmy w Niedzielę Wielkanocną tegoż roku. Do Okulic jechaliśmy z Dąbrówki po rozmiękłym gościńcu, który usypano jeszcze pod panowaniem Austrii. Koła wozów zanurzały się w błocie prawie po osie. Z dawnego gościńca została jedynie nazwa. Żwir wymieszał się z glinianym podłożem drogi. Płomienne kazanie prymicyjne wygłosił nam o. Włodzimierz Pado, który obecnie przebywa w Pieńsku koło Zgorzelca i jest cenionym autorem książek z kazaniem. Na wspólnym obrazku prymicyjnym umieściliśmy krótki akt strzeżysty: „Matko Boska Okulicka, módl się za nami!” oraz słowa biblijnego poety: „Usłysz głos błagania mego, gdy wołam do Ciebie” (Ps 28, 2).

Wśród księży rodaków, którzy wzięli udział w naszej uroczystości, był obecny tarnowski biblista, ks. dr Wawrzyniec Gnutek. Ks. prof. dr hab. Stanisław Łach, promotor prac dyplomowych Juliusza, który pochodził z Gorzkowa koło Bochni, nieraz wypominał nam humorystycznie, żeśmy go na nią nie zaprosili.

Nasze prymicje dowiodły, że przedstawione wyżej podanie, jakoby św. Stanisław Szczepanowski przepowiedział, że Dąbrówka nigdy nie wyda kapłanów, mijало się z prawdą. Nie jesteśmy zresztą pierwszymi kapłanami, którzy z niej pochodzą. Uprzedził nas na tej drodze żyjący jeszcze w Warszawie ks. Jan Lis, nasz kolega szkolny, który został wyświęcony na kapłana 29.06.1959 roku. Po nas doszło do kapłaństwa jeszcze dwu innych młodzieńców z naszej wsi. Jeden z nich, Michał Baniak, zmarł przedwcześnie. Drugi, ks. Julian Gądek, jest rektorem kościoła „Quo vadis” w Rzymie.

W roku 1961 Juliusz rozpoczął żmudną pracę wykładowcy przedmiotów biblijnych w naszym seminarium w Krakowie. W latach 1961-1963 dojeżdżał na kurs doktorancki do Lublina. W roku 1966 dużo czasu zajęło mu przygotowanie się do egzaminu kwalifikacyjnego z Pisma Świętego, do którego ks. kard. Stefan Wyszyński – podobno na wniosek ks. prof. Stanisława Łacha – zobowiązał wszystkich wykładowców tego przedmiotu w seminariach Polski, którzy nie studiowali na Biblicum. Zdał go w grudniu tegoż roku przed komisją, w skład której wchodził bibliści: Stanisław Łach, Jan Stępień, Feliks Gryglewicz, Kazimierz Romaniuk, Józef Paściak, Lech Stachowiak i Janusz Frankowski.

Pod opieką cudami i laskami jaśniejącej

Wykłady, które prawie od samego początku sumiennie przygotowywał na piśmie, a także różne obowiązki duszpasterskie, które na niego nakładano, sprawiły, że pracę doktorską Juliusz ukończył dopiero na początku 1967 roku. W dniu 2 marca tegoż roku obronił ją na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim.

W latach 1967-1969, prowadząc nadal wykłady, Juliusz był kapelanem szpitala kobiet chorych na gruźlicę, który znajdował się w Willi Decjusza na Woli Justowskiej. Jesienią roku 1968 powierzono mu ponadto stanowisko rektora naszego seminarium.

We wrześniu 1969 rozpoczął studia na Biblicum w Rzymie, gdzie w roku 1971 uzyskał dyplom licencjata nauk biblijnych. Mieszkał wówczas w Seraphicum, międzynarodowym kolegium naszego Zakonu.

Po powrocie do ojczyzny jesienią 1971 roku powierzono Juliuszowi obowiązki rektora franciszkańskiego seminarium w Krakowie, ale już w listopadzie 1972 roku złożył na ręce polskich prowincjałów rezygnację z tego stanowiska, która została przyjęta. Stwierdził bowiem, że okoliczności od niego niezależne nie pozwalały mu wywiązać się należycie z włożonych na niego obowiązków.

Od roku 1975 przez trzy lata pracował w Rzymie na stanowisku Asystenta Generalnego Zakonu. Równocześnie wykładał tam Stary Testament na Wydziale Teologicznym św. Bonawentury. Przez te „zaszczyty” stracił możliwość kariery naukowej na Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie, gdzie prowadził wykłady w roku 1974/1975, zatrudniony na wniosek śp. o. prof. dr. hab. Józefa Rosłona, który pragnął, żeby został jego następcą.

Po powrocie z Wiecznego Miasta, w latach 1978-1981, prowadząc znowu wykłady ze Starego Testamentu w naszym wyższym seminarium w Krakowie, pełnił Juliusz – w bardzo trudnych warunkach – obowiązki prowincjała krakowskiej prowincji zakonu, które poważnie nadwerężyły jego zdrowie. Pomimo wielkich oporów ze strony znacznej grupy członków prowincji i Kurii Generalnej Zakonu, udało mu się w roku 1982 otworzyć nowicjat w Kalwarii Pałacowskiej, gdzie znajduje się najważniejsze sanktuarium maryjne diecezji przemyskiej. Uważał, że to miejsce pozwoli nowicjuszom lepiej się skupić nad wartościami franciszkańskimi. Był przy tym przekonany, że nowicjat przyczyni się do wzrostu znaczenia sanktuarium i lepszej obsługi odwiedzających je pielgrzymów. Historia dowiodła, że miał słuszność.

Po przekazaniu urzędu prowincjała swemu następcy oddał się całkowicie pracy dydaktycznej i naukowej, którą nadal prowadzi. Jej owocem są ogłoszone przez niego liczne artykuły i książki, dobrze przyjęte przez czytelników.

Na cudownym obrazie Matki Boskiej Okulickiej Jezus błogosławi prawą rączką swoich wyznawców i równocześnie wskazuje na Maryję, jakby chciał powiedzieć: U Niej szukajcie pomocy. Parafianie okuliccy i pielgrzymi, którzy nawiedzają nasze sanktuarium, często wyznają, że wyprosilili sobie u Niej wielkie

DAMIAN SYNOWIEC OFMConv

dary boże. Znalazło to wyraz w słowach dawnej, nieśpiewanej już pieśni: „Było łask i cudów wiele w starym okulickim kościele”.

Zgodnie z tą wiarą codziennie po mszy św. kapłan modli się przed obrazem Matki Boskiej Okulickiej za ludzi pochodzących z naszej parafii, którzy żyją i pracują poza jej granicami. Mój Brat, któremu poświęcam te wspomnienia, jest przekonany, że m.in. dzięki tej modlitwie doznał licznych dobrodziejstw od Boga i ludzi, z którymi spotykał się przez siedemdziesiąt lat swego życia.